Rok XV. Styczeń 1891. Nr. 1.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów tylko 70 cent. przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redaktor: Feliks Lewandowski.

HEKTOR.

(*Zdarzenie prawdziwe*).

Srogie to były ciosy, które w krótkich odstępach czasu spadały na kupca Franciszka Wagnera. Kto go widział w dniach jego szczęścia, porządnie po mieszczańsku ubranego, kroczącego dumnie ulicą, w towarzystwie swego ładnego nowofundlandczyka, na wieczorną przyjacielską pogadankę pod „*Złotego kogutka*“, ten by go dzisiaj nigdy nie poznał. Blady, wynędzniały, zgarbiony przesiadywał on teraz wieczorami u łoża swojej żony, którą zgryzoty i niedostatek do łoża boleści przykuły.

Wagner był poważanym kupcem i miał się wcale dobrze, tylko miał dla ludzi za dobre serce. Aby uratować przyjaciela od zupełnego upadku, poręczył za niego znaczną sumę. Gdy termin płacenia nadszedł, przyjaciel ów ulotnił się z Wiednia. Wagner musiał zapłacić za nieuczciwego przyjaciela, wyczerpawszy prawie cały swój majątek, a nadto choroba i śmierć syna jedynaka przeprawiły go o resztki mienia. Stał się niewypłacalnym. Zlicytowano mu sklep i wszystko co jeszcze posiadał, pozostawiając mu tylko kij żebraczy.

Na domiar nieszczęścia, żona mu ciągle chorowała, a troska o nią nie pozwalała mu oddać się całkiem ciężkiej pracy. Lekarz

zapisywał tylko pożywne pokarmy i wino, a jego stać zaledwie na kartofle.

W ciężkiej zadumie siedział on pewnego wieczora, nie wiedząc co dalej począć, a pies jego również smutny, położywszy głowę na kolanach pana, patrzył mu w oczy, jak gdyby go chciał pocieszyć.

Nagle zabłysła ostatnia myśl ratunku.

„Ludwiko, muszę wyjść na chwilę z domu, przyszła mi ostatnia myśl poratowania ciebie.“

„A nią byłoby by?“

Mąż zawahał się,

„Cóż miałbyś jeszcze do sprzedania lub zastawienia. My już nic nie mamy.“

„Przecież — przecież“ — wymówił z boleścią mąż — „możemy sprzedać Hektora. On otrzymał na wystawie premię.“

„Twego Hektora chcesz sprzedać?“

„Tak być musi, — innego sposobu nie ma, ciężko, ciężko to będzie rozstać się, ale . . . . . Hektor! pójdziemy!“ zawołał zalewając się łzami. Smutno spojrzał jeszcze raz pies na swoją panią — i powlókł się za panem.

Wagner skierował swe kroki ku kanałowi Dunaju. Tam gdzie mieszkają postrzygacze psów, tam spodziewał się znaleść lub dopytać się o kupca.

Cóż się tam stało? Ludzie biegną ku kanałowi, zkąd słychać przeraźliwe krzyki. Tłum otacza bogato ubraną panią, która załamując ręce, błaga by ratowano jej córeczkę Ellę. Dama owa wyszła także z córeczką i małym pieskiem do owych postrzygaczy, i gdy rozmawiała z jednym z nich, córeczka uganiając za pieskiem, który nie dawał się złapać, pośliznęła się i spadła z przykrego brzegu do Dunaju. Woda wezbrana, szybko unosiła dziecko.

Wagner nie namyślając się długo, zawołał na Hektora wskazując ręką — „ratuj dziewczynkę.“

Pies skoczył i walcząc z falami, które dziecko kryły, dopada je, unosi nad wodą i szybko ku brzegowi się zbliża.

Z tysiąca piersi rozległ się jeden głos: Brawo Hektor!

Setki rąk wyciągnięto, by odebrać od psa uratowane dziecko.

Pies otrząsłszy się z wody, prędko odszukał swego pana, który z nim szybko przedzierał się przez tłumy, nie mogąc ze wzruszenia nic odpowiadać na liczne zapytania i pochwały.

Zatrzymuje go policyant, pyta o nazwisko i numer domu, zapisuje w książeczkę — aby zrobić obowiązkowy donos.

Skręcając na Schottenring, dopada ich jakiś jegomość, świadek czynu bohaterskiego psa, i pyta Wagnera, czyby mu tego psa nie odstąpił i ile by za niega żądał. Wagner zalał się tylko łzami i podążył szybko z psem do domu. W tedy ów pan wnosząc z lichego ubrania i wynędzniałej postaci Wagnera, że przecież za grubą zapłatę psa tego od człowieka ubogiego nabyć może, dowiedział się od policyanta o mieszkaniu Wagnera.

Wieczorem tego samego dnia stanął przed mieszkaniem Wagnera powóz wspaniały a lokaj z biletem w ręku wszedł do mieszkania. Na widok 500 guldenów, zawahał się nieszczęśli y, a gdy jeszcze rozważył, że pies ginący u niego z głodu, za którego wreszcie nawet podatku opłacić nie jest w stanie, pożegnał Hektora i oddał go w ręce nowego pana.

Gdy drzwiczki powozu zatrzasły i powóz uwoził jedynego jego przyjaciela, taki żal ścisnął mu serce, że puścił się w pogoń za powozem, lecz dopędzić go nie mógł. Bezsilny, oparty o mur kamienicy długo wodził osłupiałym wzrokiem, czy nie ujrzy swego Hektora, któregoby już za żadne skarby nikomuby nie oddał. Wreszcie ludzie sprowadzili prawie obłąkanego Wagnera do domu.

Przed domem stoi znowu powóz. Wagner z rozpaczą rzuca się na powóz, otwiera drzwiczki, lecz w powozie nie ma nikogo. Właścicielka powozu, matka uratowanego dziecięcia była w jego pomieszkaniu, i przywitała wchodzącego wyrzutem: „Gdzież jest pies, gdzie wybawca mego dziecka?“

Wagner, jakby popełnił największą zbrodnię, nie śmiał oczu podnieść ku owej damie, przez usta jego nie mogło się przedrzeć jedno słowo uniewinienia.

Dama ta nim weszła do pomieszkania Wagnera, dowiedziała się od stróża domu o całem zajściu z Hektorem, jako też o nazwisku tego pana, który kupił Hektora i że ów pan wprost pojechał na dworzec kolejowy — bo stróż od służby pańskiej wszystkiego się dowie.

Po serdecznych słowach podzięki za szczęśliwe wyratowanie jej córki, przyrzekła owa dama, że po powrocie z podróży odwiedzi znowu Wagnerów i pożegnała ich. Wagner odprowadził damę do powozu a powróciwszy do swego mieszkania, spostrzegł na stołku małe zawiniątko z napisem „dla Wagnerów.“ Wewnątrz

znalazł sporą paczkę banknotów i małą kartkę bez podpisu, tej treści: „Zechcijcie przyjąć ten mały dowód mej wdzięczności.“

* * *

Pewnego zimowego wieczora, po zamknięciu swego sklepiku, który na nowo otworzył, siedział Wagner w swoim pokoiku, popalając fajeczkę i przeglądając jakiś dzienniczek a żona krzątała się około przygotowania wieczerzy. Gdy już wszystko ustawiła na stole a nawet zwykły kufelek piwa zajął swe stałe miejsce przed Wagnerem, tenże odłożywszy dzienniczek i fajkę spojrzał z zadowoleniem na żonę swoją i rzekł:

— Widzisz Ludwiko, jesteśmy znowu szczęśliwi, Bóg nie opuścił nas.

— Dzięki Mu za to. Widać w tem wyraźnie rękę Boga; — a po chwili dodała z westchnieniem: — Jak też tam się powodzi naszemu Hektorowi, czy pomyśli on kiedy o nas, gdzie w ostatnich dniach, wycierpiał tyle głodu — czy nie zapomniał już o nas?

— Och tak! Niczego nam nie brakuje, mógłbym się nazwać zupełnie szczęśliwym, gdyby ta sprzedaż jego nie tłoczyła mi sumienia. On twórca naszego szczęścia, a nie jest z nami. On przebył z nami głód i nędzę bez mruczenia, a teraz, gdy moglibyśmy okazać mu wdzięczność naszą, on służyć musi panu cudzemu. Och gdybym go przed śmiercią choć raz jeszcze ujrzeć mógł! Pan ów, który go kupił, był cudzoziemcem i powiózł go za morze. Och już nigdy oczy moje nie ujrzą go, jedynego i najwierniejszego przyjaciela. Wzrok jego, ten niemy wyrzut, którym pożegnał mię, będąc już w powozie, odbiera mi sen w nocy, odbiera mi spokój życia mego, — I oboje Wagnerowie zalali się łzami.

— Ot ktoś tam puka do drzwi sklepiku, jakiś pewnie spóźniony robotnik. Otwórz Ludwiko!

Wagnerowa tymczasem ocierając łzy, wyjmuje klucz z szuflady i otwiera drzwi sklepowe. Jakaś postać przedziera się przez drzwi na pół odchylone, i gdy przestraszona Wagnerowa sprawy sobie z tego zdać nie może, słyszy z pokoiku radośne wykrzyki męża: O mój Hektor! O mój Hektor!

Ludwika biegnie do pokoiku, zapominając wcale o drzwiach otwartych. Tu radości i powitaniom nie ma końca. Hektor silny nowofundlanczyk wsparty łapami na ramionach swego pana, wyraża różnemi głosami swą radość, opuszcza pana, łasi się koło

pani. Mimo zastawionej, na stole kolacyi, nikt o niej nie myśli. Hektor biegając od pana do pani, mało stołu nie przewróci. Radości nie ma końca. Wreszcie zabierają się do jedzenia, lecz sami jeść nie mogą, tylko wybierając najsmaczniejsze kąski pieczeni, podają to z prawej to z lewej strony swemu powróconemu przyjacielowi.

Dopiero po kolacyi, gdy minęły pierwsze uniesienia radości, Wagnerowa opatrując bliżej swego Hektora, dostrzegła u wspaniałej obroży mały przymocowany bilecik. Otworzywszy go wyczytala w nim tylko słowa;

„Wdzięczna Ella.“

Jubileusz Dra Hyrtla.

Dr. Hyrtl, radca dworu, jeden z najznakomitszych anatomów w Wiedniu, obchodził w grudniu r. z. w najczerstwiejszem zdrowiu ośmdziesięcio letnią rocznicę swych urodzin, przy której to sposobności był przedmiotem licznych owacyj ze sfer lekarskich i naukowych. Przed szesnastu laty dla cierpień oczu usunął się z profesury w zacisze domowe. Lekarz ten i profesor starej daty był błogosławieństwem dla cierpiącej ludzkości i niezrównanym anatomem i profesorem, jakimi akademia wiedeńska dziś poszczycić się nie może. On wychował całą generacyę najzdolniejszych chirurgów-operatorów, a do nauki nie używał nigdy żywych zwierząt. Dzieła jego są klasyczne w anatomii; jasność wykładu elegancya wymowy, pełna porywającej siły, czynią je do dziś dnia niezrównanemi. Przez długi czas były one w ręku każdym, w której błysnąć miał nóż operatorski. Były one biblią anatomiczną, i są nią dotychczas. Jego podręcznik anatomii patologicznej, jest książką tak porywającą i tak pouczającą, jakiej sobie lekarz tylko życzyć może, tryska z niej bystrość, dowcip, duch i wiedza. Był on także słynnym zoologiem, a preparata jego anatomiczne są niedoścignione. Wykłady, jego były tak zajmujące, że podczas tychże chociażby najdłuższych, żaden z setek słuchaczy nie odważył się nawet chrząknąć, aby nie przeszkadzać wykładającemu.

Ten weteran nauki prawdziwej, odpowiadając na mowę owacyjną Dra Billrotha rzekł w skromności swojej: „Przecenia cie moje zasługi. Czymżesz ja jestem, że lekarze uznają mię godnym tak wysokiego uznania. Jestem starcem, pniem spru-

chniałym, dojrzałym dla siekiery; **„anatomem starej szkoły.“** Anatomem, który nie kształcił się na drgających żywych członkach psów, królików i żab, nie splamił rąk swoich krwią gorącą mordowanych zwierząt, tylko niosąc ulgi cierpiącym i ratując życie chorym.

Młodzi wiwisektorowie! czego babracie w wnętrznościach żywych zwierząt, sami nie wiecie, za czem szukacie! Zajrzyjcie do dzieł Hyrtla, korzystajcie ze skarbów jakie on dla was i dla całej ludzkości nagromadził. Nie! wyście za leniwi do czytania, do uczenia się, wy tylko ucztujecie w mordowaniu biednych zwierząt, i dla tego klątwa złego czynu cięży na was, że ludzkość traci do was zaufanie, a garnie się ku tym, których ręce nie broczą w krwi zwierząt żywych.

Ograniczenie wiwisekcyi w Danii.

Projekt ustawy o stanowczem ograniczeniu wiwisekcyi cieszy się w duńskim *Landsthingu* ogólnem uznaniem. Sejm sam poczynił jeszcze dodatkowe uchwały do ściślejszego ograniczenia. *Th. Nielsen* żądał, aby tylko laboratorium państwowe, a nikt inny z uczonych, chociażby pod nadzorem profesorów medycyny, nie śmiał robić doświadczeń na zwierzętach żywych, i aby w każdym razie zasięgano pozwolenia u ministra sprawiedliwości. Na to oświadczył minister sprawiedliwości, że dla uniknienia niepotrzebnego przewlekania, i stosownie do miejsca badań, musiał naleganiom niektórych profesorów uledz i wydał im osobiste i szczegółowe zezwolenia. *Kaspersen* żądał zakazu takich badań przy wykładach medycznych. Z powodu tych żądań, wybrano wydział z siedmiu członków, który żądania te, postawione w sejmie, zbada.

Oddział Towarzystwa w Stanisławowie.

Reskryptem Wysokiego c. k. Namiestnictwa z dnia 7. stycznia 1891 L. 757 został zatwierdzony Oddział galic. Tow. ochrony zwierząt w Stanisławowie.

Oddział liczy członków 30. Prezesem Oddziału jest p. Antoni Matula c. k. kontrolor poczty; zastępcą prezesa: p. Włodzimierz Argasiński; sekretarzem: p. Tadeusz Paszkowski praktykant techniczny Magistratu.

Nowi członkowie przybyli:

Wni: Władysław Chądzyński c. k. Starosta, Maurycy Grader, Witold Lassota, Józef Szulecki, Michał Lewicki, N. Maniak i Antoni Fedorowski.

GOSPODARSTWO.

Hodowla kur we Francyi i Niemczech. Francya posiada obecnie około 45 milionów kur, które przedstawiają wartość tyluż złr. Trzy miliony kur i dwa miliony kogutów bywa rocznie zjadanych. Około 35 milionów kur znosi jaja i wysiaduje kurczęta. Roczny dochód z hodowli kur obrachowują na 136 milionów złr. a mianowicie: 62 miliony za mięso a 74 miliony za jaja. Przeciwnie dzieje się w Niemczecho. Według wykazów statystycznych zapłacono tam w r. 1889 przeszło 41 milionów marek za jaja sprowadzone z zagranicy. Rachując, żh jedna kura znosi przeciętnie 120 jaj rocznie, hodują w Niemczecz o 10 milionów kur mniej, aniżeli wymaga własna potrzeba. Oprócy tego zapłacono w r. bież. 12 milionów marek za drób sprowadzon z zagranicy czyli o 7 milionów więcej aniżeli w roku poprzednim.

W tym roku wykupiono prawie wszystkie gęsi w całej Galicyi do Prus, tak, że gdy która przed św. Michałem ukazała się na targu lwowskim płacono za nią po 2 złr.

Lampy nocne w chlewach. Dla zapobieżenia często zdarzającym się wypadkom duszenia prosiąt przez maciory, skuteczuym ma być środkiem oświetlanie chlewów w nocy. P. Swenneby w „Molkereizeitung“ uważa brak światła za główną przyczynę podobnych wypadków i radzi oświetlanie chlewów przynajmniej w pierwszym tygodniu, gdy prosięta są jeszcze bardzo małe i bezsilne. (Tyg. roln.)

Ochrona mrówek polnych. Pojawienie się w lasach „Mniszki“ zwróciło ogólną uwagę na mrówki, które oddziaływają bardzo skutecznie na wszelkiego rodzaju szkodniki drzewne. Czytamy w „Grazer Post:“ Natura dała nam w mrówkach leśnych znakomitego i prawie wyłącznego obrońcę zdrowego drzewostanu, powinniśmy zatem starać się wszelkiemi siłami o zabezpieczenie ich od zniszczenia, któremu obecnie podlegają. Zakaz wybierania jaj mrówczych powinien być jak najostrzej przestrzeganym, a zamiast podatku pobieranego od sprzedaży tego artykułu, należałoby nałożyć grzywny na tych, którzy handel nim prowadzą. Tym sposobem zapobiegłoby się zarazem tępieniu ptaków, do których utrzymania jaja mrówcze są niezbędne. Dowiedzioną jest rzeczą, że jeden z przedsiębiorców wiedeńskich zajęty z 4 oma pomocnikami wygrzebywaniem jej mrówczych, wyseła ich do Wiednia ze stacyi Kinberg w ciągu letnich miesięcy po kilka koszów dziennie, i że podobne spustoszenie odbywa się od lat kilkunastu w różnych okolicach, tak, że nieraz całe wagony naładowane są tym towarem. (Tyg. roln.)

Szkoła opiekunką ptaszków w zimie.

Pod powyższym napisem umieścił p. Mieczysław Baranowski inspektor szkół ludowych miejskich i redaktor organu Tow. pedag. „*Szkoła*“ w temże piśmie artykuł wstępny, który to dosłownie powtarzamy:

Szkoła rozporządza niezmierną ilością środków pedagogicznych, które stosownie użyte, wywierają wpływ zbawienny na wychowanie i uszlachetnienie dziatwy. Doświadczony i myślący nauczyciel wyzyska dla celów wychowawczych często szczegół jakiś na pozór nic nie znaczący, korzystając z nadarzającej się sposobności i odpowiedniej chwili, bo właśnie owa chwila rozstrzyga o doniosłości i skuteczności pewnego środka i sposobu. W wyborze środków pedagogicznych kierować się powinien nauczyciel nietylko indywidualnością wychowanków, lecz także chwilowym nastrojem umysłu i innymi okolicznościami miejsca i czasu. Któż n. p. nie wie o tem, że najsposobniejszą porą do rozbudzania litości dla biednych jest zima, kiedyto obok głodu dokucza ubogim zimno. Stosowna powiastka, opowiedziana w czasie mroźnej pory zimowej wywoła u dziatwy współczucie dla biednych i pobudzi do uczynków miłości bliźniego. Śmierć matki lub ojca jakiegoś dziecka w klasie da sposobność pouczenia dzieci, jak ciężką jest taka strata dla dzieci i ile winni wdzięczności swym rodzicom. Pożar w gminie nasuwa nauczycielowi sposobność przypomnienia dzieciom, że z ogniem ostrożnie należy się obchodzić, a nieszczęźliwych pogorzelców wspierać.

Do podobnych środków pedagogicznych, zbawiennych w swych skutkach, należy opieka nad głodnymi ptaszkami w zimie. W krajach ucywilizowanych na zachodzie — jest ochrona ptaków śpiewających i innych ptaków pożytecznych tak głęboko zakorzeniona i tak rozpowszechniona, że pouczenia w szkole stają się prawie zbyteczne. Dzieci widzą tam na każdym kroku różne urządzenia, mające na celu ochronę ptaków pożytecznych. W sadach spotyka się tam gotowe gniazdeczka sztuczne, urządzone na wzór gniazd przez różne gatunki ptaków ścielonych, które przywabiają tych mieszkańców powietrznych i czynią oczyszczanie drzew z gąsienic prawie zbyteczne. Każdy obywatel poczuwa się do obowiązku do oddania w ręce policyi ptaszników, sprzedających ukradkiem ptaki śpiewające. Wybieranie gniazd, pastwienie się nad pisklętami ptasimi jest tam nieznane. W zimie urządzają po wsiach

i miastach stałe żerowiska dla tych ptasząt, które ojczyzny nie porzucają i nie odlatują w cieplejsze kraje. Toteż litość ta dla tych małych stworzeń boskich odpłaca się sowicie obfitym zbiorem owoców, które znaczne przynoszą gospodarzom dochody. Że litość ta wobec ptasząt i w ogóle zwierząt przyczynia się do spotęgowania miłości bliźniego, do litości dla biednych i nieszczęśliwych, nie potrzeba zdaje się i upewniać. Liczne zakłady dobroczynne, stosownie urządzone, wspierające prawdziwą nędzę, a nie popierające lenistwa i próżniactwa, jak to u nas czasem się dzieje, są wymownym dowodem wyższego poczucia Chrystusowej miłości bliźniego.

Bylibyśmy pesymistami, gdybyśmy nie chcieli uznać, że i u nas niejedno w tym kierunku się dzieje, a szkole naszej współczesnej już najmniej podobny zarzut możnaby zrobić. Jednakowoż dobrego nigdy nie ma za wiele — a powtóre, do dobrego zawsze należy nawoływać i konieczność pracy na tem polu przypominać

Niedawne mrozy, które dały się we znaki szczególnie dziatwie szkolnej, zniewolonej po wsiach podążać do szkoły, czasem o kilka kilometrów odległej, przypomniały nam sprawę ochrony ptaków pożytecznych za pośrednictwem szkoły, nieraz już omawianą.

Od dawna w wielu szkołach istnieje chwalebny zwyczaj, że dziatwa za poradą nauczyciela zbiera okruszyny chleba, zjadłszy na pauzie z apetytem przyniesiony z domu posiłek, a czasem przynosi okruszyny z domu — i zesypuje je na oczyszczonem ze śniegu miejscu, w ogrodzie szkolnym lub na podwórzu i urządza tym sposobem codziennie biesiadę dla ptastwa. Otóż piękny ten zwyczaj powinienby przyjąć się wszędzie w szkołach naszych. Słowo nauczyciela, skierowane do dziatwy w tym duchu, podziała jak iskra elektryczna i w lot w czyn się zamieni. Jaka to dobra sposobność powtórzyć z dziećmi, które to ptaszki ziemię ojczystą najbardziej kochają i nigdy nas nie opuszczają, czem są pożyteczne, dlaczego należy je ochraniać. Jesteśmy pewni, że te dzieci, które znoszą okruszyny dla ptasząt, lub też urządzają u siebie w domu dla nich posiłek, nie będą nigdy zdolne wybierać na wiosnę gniazdeczek, lub też wyłapywać ptaszki na samotrzaski i siecie. Żadna powiastka, choćby najsprytniej ułożona o psotniku, który wybierając gniazda, spada z drzewa i łamie sobie nogę itp. nie odniesie tego skutku, co czynna pomoc ptaszętom w zimie.

Obok pożytku materyalnego, który osięga się przez ochronę ptasząt w zimie, o wiele donioślejszy i potężniejszy jest wpływ moralny na dziatwę. Na żywym przykładzie poznają dzieci, że skoro głodne ptaszęta potrzebują opieki i pomocy, o ile bardziej pamiętać należy o głodnych ludziach, niezdolnych zapracować na kawałek chleba.

Opieka nad ptaszętami nie pozostanie bez wpływu na uczucie religijne dzieci; same bowiem spostrzegą, że współdziałają z opatrznością Boską, która według słów Zbawiciela „karmi i utrzymuje ptaki niebieskie, które nie sieją i nie żną“.

Na przykładzie nauczą się dzieci nietylko litować się nad biednymi, ale spieszyć im z czynną pomocą, bo to, co dziecko czyni z pobudki nauczyciela dla ptasząt, uczyni z własnej pobudki wobec biednego i chętnie odejmie sobie od ust zbyteczny kawałek chleba, a odda go łaknącemu. W dalszem następstwie przejmie się dziecko myślą, że wszyscy ludzie wspierać się i wspomagać powinni w potrzebie, a zwłaszcza ludzie sobie najbliżsi tej samej gminy, tego samego kraju, tegosamego narodu, co nie pozostanie bez wpływu na kształcenie uczuć patryotycznych i na rozbudzenie większego poczucia plemiennej łączności i jedności.

A więc pamiętajmy o tem, że szkoła powinna być opiekunką ptasząt w zimie, w czem zyskamy o jeden środek pedagogiczny więcej.

* * *

Wdzięczni jesteśmy p. inspektorowi, że w tak poważnem pismie podniósł tę sprawę i gorąco ją nauczycielom zalecił, przy tem jednak pochlebiamy sobie, że uczynił to wskutek przypomnienia naszego, gdyż przesłaliśmy mu numer grudniowy „*Miesięcznika*“, w którym zapytaliśmy: „*dla czego ta sprawa ma być wyłącznie sprawą naszą a nie sprawą pedagogów a nawet ich obowiązkiem?*“

Jakkolwiek się stało, stało się dobrze, gdyż mamy tu namacalny dowód, że nie na wszystko, cokolwiek my podniesiemy, należy rzucać kamieniem z wysokich sfer pedagogicznych.

Autor przyznaje, że sprawa żywienia ptactwa w zimie przez dziatwę szkolną jest ważnym środkiem pedagogicznym wywierającym wpływ zbawienny na wychowanie i uszlachetnienie dziatwy, dalej przypomina, że już oddawna istnieje w wielu szkołach ten chwalebny zwyczaj. Tak jest rzeczywiście. Ale autor nie jest

na tyle sprawiedliwym, aby napomknął, kto ten zwyczaj do tych szkółek wprowadził, kto go zainicyował, kto go ciągle podtrzymuje i kto ze szczupłych funduszów swoich, do których sfery pedagogiczne prawie niczem się nie przyczyniły, znaczne ponosi koszta na podtrzymywanie tej sprawy. Autor widać nie przypomina sobie, żeśmy go zaraz po objęciu przez niego tak ważnej posady upraszali o pozwolenie rozszerzenia broszurki „*Pamiętajmy o ptaszkach*“ między młodzież szkolną, jego opiece oddaną, na co nietylko zezwolił, lecz sam w tem pożredniczył. Takich broszurek rozszerzyliśmy już w kraju przeszło 20 tysięcy. W „*Miesięczniku*“, który w 1000 egzemplarzach corocznie rozszerzamy po kraju, już lat 14, nie zapominamy nigdy zalecać gorąco tej sprawy szczególniej nauczycielom.

Żałujemy mocno, że „komuś“ do którego udawaliśmy się o poparcie podobało się rzucić na nas oszczerstwo najniesłuszniej, jakobyśmy hołdowali darwinizmowi, a to z tego powodu, że znaleziono w *Miesięczniku* artykulik „*Małżeństwo u ptaków*“, przetłumaczony z niemieckiego „*Ehen unter den Vögeln*“, którego to wyrażenia używają Brehm, Dr. Russ i wszyscy inni ornitologowie i przyrodnicy nie tylko niemieccy ale całego świata, i że poważyliśmy się przedrukować piękny wiersz ks. Bołoz Antoniewicza, kończący się temi słowy: „*Słowik nucąc swe pienia,— umiera.*“ — Co? małżeństwa u ptaków! Co? ptak umiera! O zgrozo! ta to znieważenie sakramentu, to sponiewieranie godności człowieka. Tylko człowiek umiera, — a ptak zdecha; — kopnąć go nogą, to ścierwo. — Tak mamy przemawiać do młodzieży!? Nie. Tego nigdy nie uczynimy. Wszak nigdy i nikomu jeszcze nie przyszło na myśl posądzić ks. Antoniewicza o niereligijność, za to, iż powiedział, że ptak umiera, tak też i my zawsze tylko tego wyrazu używać będziemy.

Ale, że ten „*ktoś*“ jest możnym i daną mu jest władza, — dla tego też nauczyciele, boją się *Miesięcznika*, aby ich nie posądzono o darwinizm i niereligijność, — i dla tego odpadł nam bardzo ważny czynnik pomocniczy, w rozszerzaniu naszych zasad, uszlachetniających ludzkość, między masami ludu.

Że tak jest, widzimy z tego, że p. inspektor w powyższym swoim, dość długim artykule nie poważył się ani słówkiem wspomnieć o Towarzystwie lub o *Miesięczniku*, który pomimo to zostanie wierny zasadom swoim i wychodzić będzie, pomimo, że z całej armii nauczycieli we Lwowie, ani jeden nie jest

członkiem Towarzystwa, ani nie prenumeruje i nie czyta Miesięcznika.

Bądźmy cierpliwi! *F. Lewandowski.*

Sprawy Towarzystwa.

Zniesione kagańce i linewki. Obwieszczeniem z dn. 19. stycznia b. r. L. 69.433 uchylił Magistrat 1 i 3 ustęp zarządzenia swego z dn. 5. sierpnia 1890 L. 42.688, zawierające przymus zaopatrywania psów w kagańce lub prowadzenia na linewce pod rygorem bezzwłocznego zabijania psów, schwytanych bez tych wielce dla powstrzymania wścieklizny potrzebnych i skutecznych aparatów; oczem Magistrat w załatwieniu podania z dn. 11. grudnia 1890 Towarzystwo zawiadomił. Przeszło rok cały — z króciutką przerwą — trwała kontumacya psów we Lwowie; życzeniu Szan Tow. weterynarzy stało się zadość a organ tegoż „*Przegląd weterynarski*“ nie będzie się mógł teraz już użalać, że sekretarz Tow. ochrony zwierząt sprzeciwianiem się swojem nie da nigdy dokładnie przeprowadzić całej surowości ustawy o chorobach zaraźliwych u zwierząt — jak gdyby to od niego zależało.

Teraz jest już spokój — psów lwowskich po ulicach nie widać — tylko psy wiejskie, wygłodzone szkielety, wałęsają się tu i ówdzie, a mieszkańcy zteroryzowani ciągle rozgłaszaną, urojoną wścieklizną — obawiają się nawet podać im kawałek chleba.

Poskromienie dwóch największych dręczycieli. Mamy nadzieję, że dwaj najwięksi dręczyciele koni usuną się raz na zawsze z widowni i przestaną wywoływać oburzenie całego miasta. Kupowali oni konie stare na zabicie przeznaczone, utrzymywali je licho i używali do pracy ciężkiej. Pierwszemu z nich Sprecherowi, wybito z polecenia weterynarza, wszystkie konie, jako chore na nosaciznę a drugi Dygdalewicz, obłożony karami najwyższemi i policyjnemi i sądowemi zapewne zarzuci swój „*interes*“ raz na zawsze.

Co do koni Sprechera wnieśliśmy do c. k. Dyr. policyi jeszcze 10. grudnia 1889 prośbę o rewizyę tej mordowni nad stawem Pełczyńskim, gdzie konie z połamanemi członkami leżały tygodniami po rowach. Lecz co się z naszą prośbą stało to nam o tem wiedzieć nie wolno, — i dotychczas nic o tem nie wiemy co się z naszem podaniem stało. Drugie nasze doniesienie do Magistratu w tej samej sprawie z dnia 8. stycznia b. r. było już nieco spóźnione, gdyż konie już wszystkie zostały wybite z polecenia weterynarza miejskiego.

O opodatkowaniu kotów.

Ulubiony projekt finansowy gmin saskich opodatkowania kotów, nie schodzi z porządku dziennego. Chcianoby koniecznie łazić po dachach i po drabinie instancyj dostano się już z petycyami aż do mi-

nisterstwa spraw wewnętrznych. Odpowiedź ministra podnosi trudność zawieszania kotom marek, gdyż pominąwszy niepopularność kociego podatku w szerokich kołach mieszkańców, dokładna kontrola i przeprowadzenie takiej ustawy jest prawie niemożliwem. Zresztą kot nie zniósłby długo na swojej szyi dowodu opłaconego podatku, a proponowana skórzana obroża z metalową marką przeszkadzałaby mu w łapaniu myszy i szczurów i koty narażoneby były na zawieszenie się, uduszenie lub śmierć głodową.

Twierdzenie, jakoby przez to prawo właścicieli kotów było więcej szanowanem, jest mylne Czy podatek od psów, chroni tychże od nadużyć? Przeciwnie. Marki u psów narażają ich na większe prześladowanie przez oprawców, gdyż pies opłacony daje im większą gwarancyę wykupu niż pies opuszczony. Tak dzieje się wszędzie, tak dzieje się i u nas, że właściciel psa opodatkowanego narażony jest na ciągłe zatargi i nieprzyjemności i nigdy nie jest pewnym swej własności.

Toż samo działoby się i z kotami.

Rozmaitości.

Zmowa dwóch psów wściekłych. Czytamy w „*Kurjerze Lwow.*“ z dn. 4 b. m.:

„Dwa psy podejrzane o wodowstręt, pojawiły się za Łyczakowską rogatką, a ponieważ pokąsały i na ulicy Krupiarskiej kilka psów, przeto zarządzono przez rakarza bezzwłocznie obławę i zabrano wszystkie psy, które się z owymi podejrzanymi zetknęły. Z tych ostatnich jednego zabili mieszkańcy kamieniami, zaś drugiego dotąd nie schwytano.“

Jak sobie *Kurjer* wyobraża wściekliznę, poznać z tego, że łączy dwa psy wściekłe razem, które ułożywszy między sobą taktykę, razem napadają na psy łyczakowskie i gdy jeden pada pod razami kamieni, drugi urządza sobie swobodne wycofanie się. Rzeczywiście doniósł komisarz IV. dzielnicy dnia 31. grudnia z. r o jednym a d. 1. stycznia b. r. o drugim psie podejrzanym.

Pies zabity przez krupiarzy łyczakowskich, sekcyonowany przez weterynarza miejskiego, miał kiszki zupełnie próżne i pokurczone, rozumi się z głodu. W żołądku miał dwie kartofle pieczone, niestrawione. Kartofle w ogóle są psom szkodliwe, a pieczonych, połkniętych w całości żaden pies nie strawi. Wie o tem każdy hodowca psów, wie o tem każdy myśliwy, a zresztą doświadczył tego każdy, kto psa rozumnie utrzymywał.

Jacy myśliwi — takie polowanie. O tragicznym wypadku donoszą z Sasowa: W piątek dn. 2. stycznia b. r. przyjechał do Kruhowa ks. Hieronim Stachurski wikary obrz. łac. z Sasowa. Nazajutrz w sobotę po udzieleniu dzieciom szkoły kruhowskiej nauki religii, wybrał się ks. Stachurski saniami do lasu na polowanie w towarzystwie 24-letniego Sokulskiego. Nim jeszcze dojechali do lasu, zobaczyli zająca, który wyskoczył z pod jakiegoś krzaku i chyżo leciał do lasu. Obaj myśliwi, mając już nabite strzelby, zeskoczczyli z sań i poczęli

biedz za zającem. Ks. Stachurski wyprzedził Sokulskiego na kilka kroków, nagle zagrzmiał strzał i cały nabój ze strzelby Sokulskiego, który w zapale myśliwskim pociągnął za kurek, ugodził w skroń ks. Stachurskiego, który natychmiast na miejscu padł trupem. Ks. Stachurski był dopiero od roku wyświęconym. Zwłoki nieszczęśliwego leżały całą dobę na miejscu katastrofy, nim się jawiła komisya sądowa.

Drugi wypadek. Adwokat warszawski Leon Szrednicki wybrał się na polowanie w sam dzień wilii Bożego Narodzenia w majątku Korwin koło Ojcowa, dzierżawionym przez brata, — zabrawszy z sobą 10-letniego synka, którego już za młodu zaprawiał do myślistwa. Chłopiec skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z odtylcówką zastrzelił własnego ojca, który z przestrzeloną piersią padł na miejscu. Gdy zdejmowano trupa z sań, wypaliła taż sama odtylcówka i raniła śmiertelnie służącego p. Szrednickiego.

Statystyka Londynu. Krótka statystyka Londynu daje nam ciekawy obraz o stosunkach tego olbrzyma. Londyn ma 48 mostów przez Tamizę, 76 teatrów, 2.200 zakładów poczty i telegrafu z 15.000 urzędnikami, Miasto to liczy 557.419 domów, 1.450 kościołów, 2.100 szpitalów i innych zakładów dobroczynności, 7.600 piwiarń, 1.800 kawiarń, 570 hotelów, 3.100 piekarń a w tych 326.000 robotników męskich i kobiecych. Londyn zużytkowuje rocznie 1,200.000 worów mąki, 260.000 świń, 450.000 wołów, 1,600.000 innego bydła rzeźnego, 8,500.000 dziczyzny i ptactwa, 220,000.000 ryb i 510,000.000 ostryg. W Londynie jest więcej Szkotów niż w Edynburgu, więcej Irlandczyków niż w Dublinie, więcej katolików niż w Rzymie i więcej żydów niż w całej Palestynie. Po ulicach krąży codziennie 19.000 dorożek i 15.000 omnibusów. Londyn liczył w r. 1066 tylko 40.000 mieszkańców, w r. 1700 już 700.000, w r. 1800 wzrosła ta liczba do 900.000 a w r. przeszłym (1890) 4,425.000, do r. 1900 z pewnością przekroczy 5 milionów. Roczne wydatki ludności tego miasta obliczono w przybliżeniu na 4 miliardy marek.

Dwaj utrapieńcy. Nie dawno rozstrzygał sąd wyższy w Orleanie bardzo ciekawy proces. Chodziło o to, czy osoba oddana spirytyzmowi, poczytaną być może za obłąkaną i czy testament takiej osoby może być nieważnym.

Bogata wdowa w Vouvray p. Brochard umarła w r. 1886 i cały swój majątek zapisała publicznym zakładom dobroczynności. Wydziedziczeni krewni sprzeciwili się temu, wykazując jej niepoczytalność. P. Brochard była mocno przekonaną, że dusza jej męża, który ją za życia swego nieustannie dręczył, przeszła za karę w konia fijakierskiego, którego ona ciągle przepraszała, całowała i prosiła, aby karę swoją cierpliwie znosił. Również przewidywało się jej, że jeden z jej krewnych, który jej także bardzo dokuczał, po śmierci zstępywał czasami z nieba, skarżąc się, że tam spełniać musi obowiązki wiejskiego posłańca pocztowego.

Nie potrzeba być ani spirytystą, ani obłąkanym, aby nie przyznać, że koń fijakierski i posłaniec pocztowy na wsi, są najbardziej utrapione istoty na ziemi.

Interesowne zwierzęta. W mowie lorda Salisburego mianej na bankiecie lorda-majora w Londynie wywołał wielką wesołość ustęp zwracający uwagę na rolę, jaką zwierzęta odgrywały tego roku w polityce nowoczesnej. Mowca powiedział: Ameryka zaprowadziła wysokie cła ochronne z tej przyczyny, że świnie amerykańskie nie doznały w Europie należytego uznania. Toż samo zwierzę odgrywa wielką rolę w polityce półwyspu bałkańskiego. Gdy wejdziemy w zatargi z naszymi dobrymi przyjacielami we Francyi, to zawsze przyczyną tego bywa inteligentne zwierzę, rak morski. Dalsze nieporozumienia z naszymi dobrymi przyjacielami w Ameryce wynikają zawsze o niewiele mniej szlachetne zwierzę, psa morskiego.

Odyniec rzucający się „najniesłuszniej" na myśliwych. Z Niżniowa nad Dniestrem piszą do *Kurj. Lwow.*: Przed świętami odbyły się łowy w Koropcu, majątku młodego Alfr. Mysłowskiego. Między innemi ubito i 1 dzika. Z odyńcem tym była historya taka, iż gdyby nie dzielny strzelec Mysłowski i jego tęgie 4 psy, to p. Tomasz Ochocki z Kalinowszczyzny, biorący udział w tem polowaniu, z pewnością nie doczekałby był oglądania „gwiazdki" betlejemskiej. Odyniec rażony dwoma celnymi strzałami Mysłowskiego, rzucił się z zajadłością **najniesłuszniej** na Ochockiego, który spostrzegłszy niebezpieczeństwo, chciał skoczyć w bok, aby pewniejszy mieć strzał, lecz nieszczęściem pośliznął się i upadł, a odyniec był już przy nim. W tej sekundzie dopadły go z tyłu wytrawne w swojem rzemiośle psy Mysłowskiego i osadziły na miejscu, a równocześnie huknęły powtórnie dwa celne strzały p. Alfreda i położyły trupem rozjuszonego zwierza.

Z tego wynika, że już i odyńce w lesie dopuszczają się różnych niesłuszności. (Red.)

Psy a kagańce. Z listu pewnego turysty do Alp wyjmujemy następujący ustęp o psach: Jak wiele przeszedłem krajów nie widziałem nigdzie tak zwanej kontumacyi psów. Zwiedziłem wielkie i małe miasta, wsie i odosobnione folwarki, przeszedłem okolice zaludnione i puste, nigdzie nie widziałem więzionych psów. W Bawaryi, Würtembergii, Tyrolu i Szwajcaryi kaganiec i linewka są nieznane. W Monachium postanowiłem liczyć, wszystkie wolno biegające psy, które tylko spotkam. Po tygodniu przestałem, naliczywszy ich 365. Na żadnym nie widziałem ani kagańca ani linewki Szczególna rzecz, że psy wściekłe dały sobie *Rendezvous* tylko w północnych Niemczech (i we Lwowie, przyp. Red.). Psy, czyli ta choroba nie przechodzą przecież powietrzem przez Wogezy? W Paryżu (i we Lwowie) hodują psy wściekłe czyli pasteuryzują; lecz psy, po za obrębem zakładu Pasteura biegają wolno bez kagańców i są zdrowe. *(Cimbria).*

Hodowla psów w Anglii. W czasopiśmie „*Der Hund*" czytamy, że w r. 1887 obrót pieniężny wynosił 80 milionów marek, za 900 000 psów zapłacono podatku 6,800.000 marek.

Krew kozia, mająca zdaniem Dra Bertin z Nantes leczyć suchoty, zajmuje teraz w wysokim stopniu świat lekarski. Surowica tej krwi ma stanowczo zabijać laseczniki gruźlicze. Wystarcza, aby choremu wstrzyknąć 30 gramów krwi koziej, aby w kilka godzin zginęły w nim

wszystkie lasecczniki gruźlicze. Dr. Bertin wyleczył już tym sposobem kilkanaście osób. Wstrzykiwał krew kozią do żył w nodze osób chorych na suchoty.

Podziękowanie. Wydział Towarzystwa Pomocy dla ubogiej młodzieży szkolnej w Mikulińcach rozdał na początku b. m. dla biednych uczniów i uczennic tut. szkoły: 10 par bucików nowych; 2 pary podszycia; 4 surduciki; 6 par spodenek; 10 kaftaników i 8 spodniczek, za kwotę 42 złr. 54 ct. Podając ten szlachetny czyn do powszechnej wiadomości składam w imieniu dziatwy i tejże rodziców, tak wydziałowi, jak i wszystkim szanownym członkom wyż wymienionego Towarzystwa serdeczne Bóg zapłać! *Antoni Rybaczek*
kierownik szkoły.

W Mikulińcach w styczniu 1891.

ZE „STROF“.

Kiedy w przeszłości grzebiąc dalekiej,
Badamy jej tajemnice,
To nam zmarłe przynoszą wieki
Kamienne urny, łzawnice.

Lecz gdy w przyszłości — badacz głęboki
W przepaści zejdzie bezdenne,
To zamiast łzawnic — z naszej epoki
Odnajdzie serca kamienne.

HUMORYSTYKA.

Kynofobia.

Do wagonu tramwaju w Berlinie wsiada jakiś jegomość, tuląc coś małego pod płaszczem. Jadący tym samym wagonem zwracają uwagę konduktora, że ten pan ukrywa pod płaszczem pieska. Na wezwanie konduktora, ów gość nie chce wysiąść ani wyrzucić pieska. Zatrzymują wagon wzywają żandarma, przed którym oświadcza ów jegomość, że dla tego pieska nie wyrzucił na ulicę, gdyż pies ten biegać nie umie, bo jest wypchany.

Szczyt przywiązania.

— Cóż przyjacielu, przywiązał się już twój Karo do twej żony?

— O! nadzwyczajnie, on nawet już jada to, co ona zgotuje.

W szkole.

— Gapski, nazwij mi trzy zwierzęta drapieżne.

Gapski po długim namyśle:

— Lew... i dwa tygrysy.

Koleżeństwo.

Pani (wracając ze służącą z targu): Marysiu! zapomniałyśmy kupić pietruszki.

Marysia: Patrzcie! a to z nas cielęta.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem St. Baylego.